



jaroslaw
maślanek Apokalypsis '89

w
ydeologic
ab
two



. . . w serii ukazały się . . .

- Wojciech Albiński *Achtung! Banditen!*
Lidia Amejko *Żyoty świętych osiedlowych*
Andrzej Bart *Rewers*
Joanna Bator *Piaskowa Góra, Chmurdalia*
Dawid Bieńkowski *Nic, Biało-czerwony*
Szymon Bogacz *Koło kwintowe*
Jacek Dehnel *Lala, Rynek w Smyrnie, Balzakiana,*
Fotoplastikon
Agnieszka Drotkiewicz *Teraz*
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty, Tarot paryski*
Kabaret metafizyczny, Podręcznik do ludzi, Namiętnik
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*
Marek Kochan *Plac zabaw*
Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*
Wojciech Kuczok *Gnój, Widmokrąg, Senność,*
Opowieści przebrane
Jarosław Maślanek *Haszyszopenki*
Daniel Odija *Kronika umarłych*
Tomasz Piątek *Pałac Ostrogskich, Wąż w kaplicy*
Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy, Śmierć czeskiego psa*
Sławomir Shuty *Zwał, Cukier w normie z ekstrabonusem, Ruchy*
Sylvia Siedlecka *Szczeniaki*
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo, Rebelia*
Żydówek nie obsługujemy
Marek Soból *Mojry*
Wojciech Stamm *Czarna Matka*
Magdalena Tulli *W czerwieni, Sny i kamienie, Tryby, Skaza*

jarosław
maślanek Apokalypsis '89

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

Mariuszowi

Adaś (14.45)

Siatka ma posmak rdzy, starej olejnej farby i kurzu. Cofam język. Spoglądam w górę, słońce zmusza do zmrużenia oczu. Na powiekach czuję ciepło. Pochylam głowę; u stóp kupka zeschniętych liści próbuje oprzeć się podmuchom wiatru. Wciągam powietrze.

Chcę, by ta chwila wryła mi się w pamięć, by matryca wspomnień jak najwierniej odcisnęła ten moment w mózgu.

Od syna dzieli mnie ogrodzenie, bieżnia i boisko z dziećmiakami rozgrywającymi mecz. Zostało mi niewiele więcej niż czterdzieści pięć minut. No, chyba że będzie dogrywka.

Ojciec zdechł

Najlepiej wspominam chwile, w których nie było mnie tam, gdzie mnie oczekiwano. Uchylny, tak mnie nazwał Antykwariusz – i chyba miał rację. To był mój

sposób na syndrom roku '89; roku, który można nazwać przedwiośnią lub przedzimiem; jak kto woli albo jak komu było dane.

Wtedy, w czerwcu, wielu dało się ponieść fali ogólnonarodowego entuzjazmu, wielu wycięło z gazet wizerunek orła w koronie i oprawiło w ramki po komunijnych obrazkach, weselnych portretach, sanatoryjnych pamiątkach.

W moim przypadku prawdziwe uwalnianie rozpoczęło się jednak wraz ze śmiercią ojca.

– Proszę państwa, czwartego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku skończył się w Polsce komunizm – powiedziała Joanna Szczepkowska w telewizyjnym studiu.

– O kurwa!!! – usłyszałem zawołanie ojca, który samotnie przeżywał upadek komuny.

– Słyszeliście! – Wybiegł na korytarz, uchylił drzwi do mojego pokoju. – Nareszcie, teraz już można wszystko!

Odłożyłem książkę, przyciszyłem muzykę i podniosłem się z łóżka.

– Co można?

Ojciec stał w drzwiach, jedną ręką trzymał się framugi, drugą przyciskał do piersi. Lekko syknął. Ale za chwilę znów miał twarz rozpromienioną uśmiechem. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem go śmiejącego się. Tak szczerze, bez skrupowania, prezentującego ostatnie dwa zęby. Zapuszczone, tłuste i zszarzałe ze starości włosy opadały mu

na czoło. Poplamiony podkoszulek opinający brzuch, gatki ledwo widoczne pod opadającym sadłem.

– Nie ma już komuny, jesteście wolni – wyseplenił.

Skrzywiłem się na widok poczerniałych resztek uzębienia. Chciałem, żeby już wyszedł, żeby swoją radością dzielił się z kimś innym.

– No i co z tego. – Opadłem na łokcie, zerknąłem na potencjometr magnetofonu. A jakbym tak podkreślił głośność, żeby nie słyszeć, co mówi?

– Jak to co z tego?

Spojrzałem na niego, zgarbił się trochę. Z twarzy powoli znikał entuzjizm, rozluźnione mięśnie sprawiły, że policzki się zapadły, podkreślając bezzębność szczęki, worki pod oczami stały się wyraźniejsze.

– Daj mi posłuchać muzyki – powiedziałem.

– Synu, to historyczna chwila, nie rozumiesz, nie ma już komuny! – jeszcze próbował podtrzymać rozmowę, wciągając w polityczną dyskusję.

– Ciągle pieprzysz o tej komunie, a źle ci było? – Położyłem się na łóżku. Sięgnąłem po paczkę mocnych, wytrząsnąłem jednego, zapaliłem. Zza pierwszego dymka spojrzałem na ojca. – Nawet nie byłeś na wyborach.

Machnął ręką. Zobaczyłem jeszcze, jak się skrzywił. Dotknął piersi i delikatnie pomasaował klatkę.

Deski podłogi skrzyknęły, kiedy się wycofywał. Sięgnąłem do magnetofonu i pokręciłem głośność. I jeszcze bardziej, jeszcze trochę. Pokój wypełniła mu-

zyka. Mimo to nie mogłem zapomnieć widoku ojca, który tak bardzo zmienił się w ciągu ostatnich pięciu lat, że niewiele miał wspólnego z ojcem, jakiego znałem z dzieciństwa.

Bo tamten ojciec był kimś zupełnie innym. Ojciec sprzed emerytury, sprzed rozvodu, był muzykiem, z zawodu i z wykształcenia. Grał na trąbce, ukończył akademię muzyczną, chyba nawet z całkiem niezłymi wynikami. Tak przynajmniej wspominał przy okazji kłótni z matką.

Przeprowadzili się do naszego miasta, kiedy dostał posadę w orkiestrze zakładowej przy wytwórni płyt długogrających, działającej przy naszym kompleksie chemicznym. A wtedy, w latach pięćdziesiątych, to był niezły awans – z nauczyciela muzyki w podkrakowskiej wiosce na etat do prężnie rozwijającego się ośrodka przemysłowego, z niezłą pensją i, co najważniejsze, trzypokojowym mieszkaniem. Matka, z którą poznał się na studiach, została nauczycielką w tutejszej podstawówce.

Ojciec ulepiony był jakby z dwóch osobowości. Pochodził z krakowskiej rodziny z tradycjami; od dziadka, przedwojennego kuśnierza, nasłuchał się opowieści o wyższych sferach, inteligencji, finansjerze, którą ten obsługiwał; babka wpoila mu zasady dobrego wychowania i zaszczerpiła miłość do muzyki. Oboje zginęli w Auschwitz, jednak został wychowany w sierocińcu, już w duchu miłości do zabużańskiego dziadka z wężami. Te dwie rzeczywistości – kilku

ostatnich lat przedwojennego dzieciństwa i młodości upływającej w czasach betonowego socrealizmu – chyba przez całe życie toczyły wojnę o duszę mojego ojca.

Wydawało się, że skoro skończył szkołę muzyczną, to zwycięży w nim tradycja sanacyjna. Ojciec, jakiego zapamiętałem z dzieciństwa, to mężczyzna schludnie ubrany, zadbany, jeśli nie w garniturze i koszuli, to w reprezentacyjnym mundurze zakładowej orkiestry. Pamiętam uczucie dumy, gdy odbierał mnie z przedszkola w galowym uniformie. Szczupły, uśmiechnięty, trochę sztywny, górował nad wychowawczyniami, a dzieciaki, zawsze skupiające się przy nas, sięgały mu najwyżej do kolan. Patrzyłem na nie z wyżyn ojcowskich ramion i byłem przekonany, że do końca życia nikt mi nie podskoczy.

Nasze mieszkanie odzwierciedlało rygor panujący w jego garderobie – nie było mowy o brudzie, bałaganie czy nieporządku. Meble dobrane w miarę możliwości w stylu przedwojennym, oczywiście jak na standardy peerelowskiego designu. Ciemna imitacja drewna, przeszklone witryny regałów, masywne krzesła i stoły, sporo zdjęć na wysokich ścianach, żyrandole obwieszane plastikowymi łezkami podrabiającymi kryształ. Wystrój doskonale pasował do stylu mieszkania, które znajdowało się w przedwojennej siedzibie dyrekcji fabryki. Dwukondygnacyjny budynek w kształcie litery E pozbawionej środkowego jęczyczka wyróżniał się czerwieńią cegły. Tylko on ostał się ze starej archi-

tektury, zastąpionej w centrum miasta betonowymi bryłami industrialnego hurraoptymizmu.

W dbaniu o czystość mieszkania nie byłoby nic złego, gdyby ograniczało się to jedynie do sprzątania. Jednak przez całe dzieciństwo żyłem w przeświadczeniu, że zabieram się do czegoś, co i tak nie spełni oczekiwań ojca.

Co najmniej raz w tygodniu nadzorował porządki, zlecając mi (dopóki po hucznie obchodzonej osiemnastce nie postawiłem się i nie powiedziałem, że będę sprzątał tylko swój pokój) odkurzanie wszystkich pomieszczeń. Matka w tym czasie myła podłogi, ścierała kurze, prała. Ojciec oddawał się natomiast swojemu ulubionemu zajęciu – gotowaniu. Potrafił przez pół dnia pichcić coś w kuchni, a od czasu do czasu sprawdzał jakość naszych wysiłków, wodząc palcem po najbardziej niedostępnych zakątkach mebli. Przywiązywał wagę zwłaszcza do swojej biblioteczki, w której sondował nawet przestrzenie między rzędami książek. Jeżeli znalazł strzępki kurzu lub niedokładnie wytarte powierzchnie, nie robił co prawda żadnej awantury, nie krzyczał, nie złościł się, nawet nie przeklinał, o jakiegokolwiek domowej przemocy nie wspominając, po prostu zwracał uwagę, że tak się nie robi.

– Synu, chodź no tu – przywoływał mnie. – Tak nie może być – tłumaczył. – Jeżeli zawieramy umowę, jeżeli podejmujesz się jakiegoś zadania, musisz, podkreślam, musisz, je wykonać należycie. Rozumiesz?

– Tak, tato – odpowiadałem. – Zaraz to poprawię.

– To nie wystarczy.

Wiedziałem, że nie tak łatwo zbyć ojca, jeżeli już dopatrzył się nieprawidłowości. Upomnienie to był dopiero początek umoralniającej pogadanki. Potem obejmował mnie ramieniem, prowadził do pokoju, sadowiliśmy się po przeciwnych stronach ławy i następowala kilkunastominutowa lekcja odpowiedzialności, sumiennosci, pracowitości i posłuszeństwa.

Och, jak ja go wtedy nienawidziłem! Moja niechęć do nauk przeplatanych gawędami o honorze i tyradami o szkodliwości komunizmu ustępowała tylko torturom związanym z przymusem słuchania jego ulubionej muzyki. Już wołałbym, żeby przyłał mi w dupę – zamiast pół godziny, miałbym zmarnowane kilka minut.

Ojcowskie metody wychowawcze sprawdzały się, dopóki nie podrosłem i nie zacząłem się buntować. Ale zanim to nastąpiło, przez wiele lat z poczuciem winy, ze zwieszoną głową i z sumiennym postanowieniem poprawy wychodziłem z pokoju i zabierałem się do naprawiania spartolonej roboty.

Domowe porządki skończyły się wraz z rozwodem rodziców. Z tego, co wiem, nie chodziło o zdradę, przynajmniej żadne z nich nie podnosiło tego tematu w kłótniach ani podczas rozpraw rozwodowych. Wydaje mi się, że po prostu nie mogli ze sobą dłużej wytrzymać, co biorąc pod uwagę fakt, że po

rozwodzie nadal musieli mieszkać razem, zakrawało na zemstę losu za wieloletnie udawanie miłości. Cały mój okres dorastania to czas coraz ostrzejszych sporów rodziców o najmniejsze pierdoły – potrafili kłócić się ze sobą nawet o to, czy przed rokiem śnieg spadł już pod koniec października, czy dopiero w połowie listopada.

Pierwsza wybuchła matka. Była przeciwieństwem ojca – wiecznie w ruchu, wciąż coś robiła, mówiła, chodziła. Przy ojcu, uosobieniu spokoju (w obecności matki przeradzającego się w wyniosłość), wydawało się, że wręcz przeszkadza, płącze się pod nogami i gdera. Spory zaczynały się od krzyku matki. Ojciec w tym czasie przechodził od fazy spokojnego wyjaśniania, przez coraz bardziej nerwową gestykulację wspieraną podniesionym głosem, aż po wyrzucone w twarz matki pojedyncze przekleństwo, które, jak wentyl bezpieczeństwa, powodowało nagłe ujście złości i wyciszenie kłótni. I zawsze było to przekleństwo bezosobowe, nieukierunkowane, tak jakby nie chciał, aby odebrała je osobiście.

– Kurwaaaaa!!! – wrzeszczał. – Pierdołę to!!! – A czasami: – Sram na to!!! – Zdarzało się też: – Walić to!!!

Najczęściej była to właśnie „kurwaaa!”, przy czym w wykonaniu ojca brzmiało to jak „kurWAAA!”, zaczynało się spokojnie, by przejść w krzyk, dla wzmocnienia efektu wspierany pokazem dwóch zaciśniętych pięści.

Te przekleństwa łączyły go z naszym czasem, z tu i teraz, z tym, co od lat próbował wypełnić ze swojego życia. Wyrzucane w przypływach gniewu przypominały o tym, kim próbował nie być, o tym, że kiedyś skończy się iluzja życia według przedwojennych zasad i przyjdzie zmierzyć się z tradycją sierocińca.

Po kulminacyjnym bluzgu spór dobiegał końca. Oboje wydawali się przestraszeni tym, do czego sytuacja zmierza, zdawali sobie sprawę, że już tylko krok dzieli ich od granicy, której przekroczenie oznacza koniec małżeństwa. Wtedy między rodzicami następowało kilka dni cichej, zimnej wojny, gdy ojciec przenościł się do pokoju odgrywającego rolę salonu, a jedno i drugie, mijając się w korytarzu czy kuchni, starało się nie ocierać o współmałżonka. Aż w końcu ojciec na stałe zagościł w trzecim pokoju. Przypieczętował przeprowadzkę, zastępując gościnną sofę nową wersalką. Nadal mieszkali razem, nadal ze sobą rozmawiali, nadal się kłócili, ale spali w osobnych pokojach.

To, na co zapowiadało się od dawna, przyspieszyła sprawa z kiełbasą krakowską suchą. Można powiedzieć, że rozwód miał podłoże masarskie. Ojciec przygotowywał sobie kanapki – na stole rozłożony był bochenek chleba, masło w maselniczce, umyte i osuszone pomidory, cebula, pokrojona już w talarki, solniczka i od kilku minut stygnąca herbata, tak by uzyskać pożądaną przez ojca temperaturę około pięćdziesięciu stopni. To miał być jeden z ostatnich tak pieczołowicie

przygotowywanych przez niego posiłków. Od incydentu z kielbasą krakowską suchą do dnia, w którym w poplamionym podkoszulku i z dwoma zębami cieśzył się z końca komuny, minęło mniej więcej pięć lat. W ciągu pięciu lat z reprezentacyjnego trębacza stał się zapuszczonym facetem, który trąbkę co najwyżej mógł sobie wetknąć między opustoszałe dziąsła.

Matka kręciła się przy kuchni, przeszkadzając mi w przygotowywaniu herbaty. Nawijała też cały czas o jakiejś Baśce z pracy, która coś tam próbowała załatwić, ale nic jej nie wychodziło, a jak w końcu wyszło, to całkiem na odwrót, niż planowała, więc w ogóle nie powinna się za to zabierać, bo ona zawsze jak coś zacznie, to nie skończy, a jak skończy, to źle dla niej albo dla tego, z kim to coś próbowała załatwić. Stałem przy kuchni, patrzyłem, jak smużka pary wydobywa się z czajnika i z chaotycznego kłębu zamienia się w strumień gorąca rozbijający się o ścianę, i czekałem, aż gwizd zagłuszy wywód matki. Na nieszczęście odezwał się ojciec:

– O jakiej ty Baśce mówisz? To ta od przyrody?

– Jakiej przyrody? Nie wiesz, o kim mówię? To żona Wieśka, tego pijaka, co go ostatnio ściągnęli z wieży kościelnej, jak chciał się zabić, nie wiesz? Mieszkają tam przy rynku, w tych starych blokach, niedaleko Siechowskich, tych od mleka, wiesz, tych, co rozwożą mleko co rano. Ten stary z synem; żuka z plandeką mają. Przecież już ci o niej opowiadałam, o tej Baśce, a ta od przyrody to Marta.

– Poczekaj, zaraz. – Ojciec odłożył nóż, którym kroił kielbasę krakowską suchą w plasterki. – Kochanie, ja nie wiem, kto to jest Wiesiek, a Siechowskich kojarzę, owszem, ale nie mam pojęcia, w którym bloku mieszkają.

– Ty w ogóle nie interesujesz się moimi sprawami, nie wiesz nawet, z kim pracuję. – Matka coraz bardziej nerwowo przecierała szklanę, już czystą. – Jezu, wcale cię nie obchodzę – dodała, jeszcze spokojnie, jeszcze w miarę cicho.

– Złotko, po prostu zamiast wyjaśnić, zaciemniasz sprawę, a ja nadal nie wiem, która to ta Baśka.

– Przecież opowiadałam ci o niej chyba z tysiąc razy. – Matka odstawiła szklanę i podeszła do stołu, na którym ojciec przeprowadzał operację przygotowania posiłku. – Świat nie kręci się tylko wokół ciebie. – Pochyliła się nad nim, opierając o blat lewą rękę owiniętą ścierką, którą przecierała przed chwilą naczynie.

– Nie zaczynaj znowu. – Ojciec spojrzał do góry. Dłonie złożył jak do modlitwy i podparł podbródek. Przymknął oczy, wypuścił powietrze. – Po prostu nie skojarzyłem, że to o nią chodzi.

Przeczuwałem, co się święci. Zestawiłem czajnik z palnika kuchenki i nie czekając, aż zacznie wyć na alarm, zalałem herbatę. Kiedy wychodziłem z kuchni, tyrada matki nabierała rozpędu, a ojciec z przymkniętymi powiekami zbierał się do odparcia ataku. Zamknąłem drzwi od pokoju i włączyłem muzykę, podświadomie czekając na wieńczący awanturę wybuch

ojca. Ostrożnie uniosłem szklankę i zdmuchiwałem parę z gorącej herbaty. Przebieg ani treść rodzinnych kłótni już od dawna mnie nie interesowały, nie wiem, dlaczego teraz ich podsłuchiwałem.

Gdyby ojciec nie miał wtedy w zasięgu ręki pęta kiełbasy, gdyby przyrządzał mniej przydatny w przemoc domowej twarożek ze szczypiorkiem i śmietaną, który przecież tak lubił, następne lata może potoczyłyby się zupełnie inaczej.

Po jakichś pięciu minutach kłótni, która jak zwykle przerodziła się w monolog matki, usłyszałem jej krzyk i płacz.

– Chciałeś mnie zabić! – wrzeszczała matka. – Zobacz, leci mi krew! Chciałeś mnie zabić!

Odstawiłem szklankę i wybiegłem z pokoju. Przed wejściem do kuchni przystanąłem, oparłem dłoń o drzwi, jakbym chciał je przymknąć i pozostać poza tym, co tam zobaczę.

Po chwili zajrzałem do środka. Matka siedziała na krześle, a ojciec pochylał się nad nią i próbował przytulić. Odepchnęła go, podniosła się i podeszła do zlewu. Zobaczyłem krew ciekącą z jej nosa. Odkręciła zimną wodę i zmoczyła ścierkę, którą próbowała zatamować krwotok. Ojciec stał za nią, z opuszczonymi rękami, sflaczały, przygarbiony. Spojrzał na mnie. Nic nie zostało z wyniosłego, sztywnego faceta z zasadami.

Stało się – zdawał się mówić.

– Mogłeś mnie zabić! – łkała matka.

– Przepraszam, proszę, wybacz mi, nie chciałem, nie kielbasą – zapewniał ojciec.

Z przebiegu rozprawy rozwodowej dowiedziałem się, że narzędziem pobicia była kielbasa krakowska sucha.

Tego dnia w ojcu coś pękło, puściła wewnętrzna tama, która odgradzała go od świata, chroniła przed szarżą, pozwalała żyć w przeświadczeniu, że można się oprzeć naporowi codzienności. Ta jego poza – na przedwojennego dżentelmena – powodowała, że nasza rodzina była szanowana, może nawet trochę podziwiana. W proletariackiej zalewie, w mieście powstałym wokół fabryki, w którym większość mieszkańców mogła poszczycić się rodowodem z podmiejskiej wiochy, byliśmy traktowani jak pięknie pomalowane i udające pisankę zepsute jajko – proszę podziwiać z zewnątrz, ale lepiej podchodzić ostrożnie, bo skorupka może pęknąć i będzie śmierdzieć. Jak się okazało, znajomi mieli nosa, a przytępione tytoniowym smogiem zmysły w tym wypadku były nad wyraz wyostrzone.

Chyba pierwszy zauważyłem, że coś jest nie tak. Zapewne oznak było dużo więcej i pojawiły się wcześniej, jednak akurat wtedy skończyłem studia i zacząłem swoją pierwszą pracę, trudno było więc wymagać, żebym w takim czasie bacznie obserwował ojca lub matkę. A zresztą po zakończeniu sprawy rozwodowej

w domu nareszcie zapanował spokój, nie miałem więc powodu zajmować się stanem żadnego z rodziców. Założyłem, że dostali to, co chcieli, a ja jako bonus otrzymałem wieczorną ciszę.

Tak jak impulsem do rozwodu była kiełbasa krakowska sucha, tak dla mnie oznaką, że z ojcem dzieje się coś złego, została zupa pomidorowa, a nawet nie tyle sama zupa, co przecier pomidorowy domowej roboty. Ojciec, jako zapalony kucharz, w czasach permanentnych braków zaopatrzeniowych wiele przetworów przygotowywał sam. Co roku latem i jesienią kuchnia zamieniała się w bulgocące, zaparowane, gorące i wypełnione po brzegi słoikami laboratorium, a po domu roznosiły się zapachy kompotów, powideł, grzybków i przecieru pomidorowego.

To było parę miesięcy po rozwodzie. Już wtedy rodzice prowadzili osobne gospodarstwa domowe w jednym mieszkaniu. Ja podczepiłem się pod jadłospis matki, uciekając od ojcowskich, przesadnie zaangażowanych potraw ku minimalizmowi wiecznie zagonionej rodzicielki. Dzięki temu miałem spokój ze zmywaniem góry naczyń, sprzątaniem zapaskudzonej kuchni, a zamiast ociekających tłuszczem i za bardzo doprawionych obiadów ojca dostawałem chudziutki rosół lub ledwo wzbogacony mięsem bigos matki. Po kilku miesiącach pichcenia wyłącznie dla siebie ojciec chyba się zorientował, że nie ma to większego sensu, i skupił się na przygotowywaniu na przemian rosółu przerabianego po kilku dniach na pomidorową oraz

jajek sadzonych, ewentualnie żeberek lub gulaszu. I właśnie kiedy chciał wzbogacić nie pierwszej już świeżości rosół przecierem pomidorowym domowej roboty, czerwona papka zachlapała bułgarski, pamiątkowy podkoszulek, który przywiózł z występów nad Morzem Czarnym, gdzie w ramach wymiany między bratnimi socjalistycznymi narodami pojechał z naszą przyzakładową orkiestrą. Takie wyjazdy były, oprócz cosobotnich chałtur na weselach, dodatkowymi profitami z bycia zawodowym trębaczem. Z wojaży przywiózł wtedy kilka drobiazgów, między innymi dwie koszulki w marynarskie pasy. Kiedy zakładał te niebiesko-białe wdzianka, wyglądał, jakby dopiero co zszedł ze statku po dalekomorskim rejsie. Bardzo je lubił i zawsze zabierał na rodzinne wakacje. Po paru latach jedna poprzecierała się i postrzępiła, wylądowała więc w koszu. Drugą, spraną, ale z wciąż widocznymi pasami, często zakładał. Tego dnia, kiedy przecier poplamił cały przód ojcowego podkoszulka, byłem akurat w kuchni. Ojciec zaklął i zaczął wycierać pomidory zmywakiem do naczyń, rozmazując plamę. W końcu dał za wygraną i poszedł się przebrać.

Po kilku dniach ponownie zarejestrowałem poplamiony podkoszulek na ojcowskim torsie. Jeszcze wtedy nic to dla mnie nie znaczyło, skojarzyłem fakt i pozwoliłem pamięci przykryć go stosem karteluszek z równie bezużytecznymi wrażeniami. Do pamięciowego archiwum musiałem sięgnąć mniej więcej po tygodniu, kiedy po powrocie z pracy przywitało mnie

to samo marynarskie wdzianko, upstrzone pomidorowym ornamentem – z ojcem w środku. Makulatura w mojej głowie trochę się przetasowała, spychając z wierzchołka teczkę z napisem NOWA PRACA, a wysuwając na wyższe poziomy wspomnienia z zupą pomidorową. Zaraz, zaraz, kiedy to było, kiedy ojciec zachlapał się przy gotowaniu pomidorówki? Dobre dwa tygodnie temu. OK, to jeszcze nie tragedia. Co prawda do tej pory raczej nie paradował w przepoconej bieliźnie, o zabrudzonym ubraniu nie wspominając, ale mogło mu się zdarzyć, że włożył przeprany, ulubiony podkoszulek. Jednak za każdym razem, gdy przychodziłem do domu, wspomnienie o przecierze pomidorowym na bułgarskim podkoszulku natrętnie powracało. Ojciec, już wtedy na emeryturze, witał mnie zawsze w tej samej bieliźnie. Coś się z nim działo.

Wkrótce zauważyłem, że przestał opuszczać deskę na sedes po załatwieniu potrzeby. Jeszcze kilka miesięcy temu było to nie do pomyślenia, a ojciec wielokrotnie wywoływał mnie z pokoju, napominając, kiedy taka niezręczność przydarzyła się mnie. Teraz nie tylko nie opuszczał deski, lecz także systematycznie ją obסיkiwał, pozostawiając mocz w zagłębieniach. Coraz częściej w łazience czuć było zapach przetrawionego alkoholu.

Kolejnych znaków przybywało z każdym dniem, coś zaczęło kruszeć w wizerunku ojca, tak jakby od-

padały z niego elementy kamuflażu i nie było nic pod spodem. Ojciec wycofywał się. Ograniczał przestrzeń zajmowaną w mieszkaniu i zamykał się w swoim pokoju. Po upływie kolejnych tygodni, a potem miesięcy zniknął z kuchni, przenosząc jedzenie z lodówki na balkon, którego wyjście znajdowało się w jego pokoju. Kupił elektryczną kuchenkę i odtąd herbatę, kawę i czasami obiad gotował u siebie. W końcu zamontował zamek w swoich drzwiach, które zamykał za każdym razem, gdy wychodził z domu. Szczęk klucza dobiegał mnie także przed snem. Odgłos zapadki z każdym tygodniem zagrabiał kolejne godziny, początkowo niczym kurant wieszcząc jedenastą, by coraz bezczelniej uszczuplać dobę do dziesiątej, dziewiątej, ósmej, a w końcu do siódmej. Ostatecznie ojciec spędzał zamknięty w swoim pokoju całe wieczory, nie dając mi szansy na sprawdzenie, czy bułgarski podkoszulek wciąż jest na swoim miejscu. Wychodził dopiero nocą, gdy matka i ja leżeliśmy już w łóżkach, spaliśmy lub próbowaliśmy zasnąć. Czasami słyszałem stukot pełnych butelek, które wynosił do toalety. Zastanawiało mnie to na tyle, że przyciszałem muzykę, gdy dobiegał mnie skrzyp otwieranych drzwi. Nasłuchiwałem i próbowałem rozszyfrować, co oznaczają te dźwięki.

Któregoś dnia zapomniał zamknąć drzwi do swojego pokoju, a ja z ciekawości zajrzałem do pomieszczenia, którego nie widziałem już chyba z rok. Powitał mnie zaduch niewietrzonego wnętrza. W powietrzu

czuć było intensywną woń niemytego męskiego ciała, zapach potu i nieswieżej bielizny.

Przez zabrudzone szyby wpadało światło, zagarniało wewnątrz – balkon i okna zajmowały całą ścianę naprzeciw drzwi. Zmrużyłem oczy. Kiszkę pokoju zalewał blask, a każdy oświetlony szczegół rzucał cień wydłużony popołudniową porą.

Pokój był zawalony ubraniami. Koszulki, slipy, skarpetki – pomieszane, wymiędlone, rzucone w kąt, pod ścianę, zebrane w kupki na podłodze, sprasowane na fotelach stojących przy ławie. Była późna wiosna, a na końcu stołu dosuniętego do ściany leżała zimowa kurtka, spod której wyglądały białe kalesony. Bielizna przylegała do kuchenki elektrycznej. Poczerniałe płyty pokrywała skorupa spalonych i przypieczonych potraw – nie mogłem rozpoznać, czy to efekt odparowania zupy, wykipiałego mleka, czy może wody z gotowanych ziemniaków. Na podłodze, między wersalką a biblioteczką, leżały książki, niektóre otwarte, kilka przytulonych zapisanymi stronami do zakurzonego dywanu, parę wsuniętych pod łóżko. Pozostałe niedbale powkładane do biblioteczki, która nie przypominała już uporządkowanego alfabetycznie i tematycznie archiwum, jakim była kilkanaście miesięcy wcześniej. Widok książek zalegających wszędzie, opartych o siebie pod różnymi kątami, był dla mnie prawdziwym szokiem. Pamiętałem jeszcze katusze, jakie przechodziłem, gdy musiałem odkurzać zastawione równiutko półki, oczekując ojcowskiej inspekcji z nadzieją

na pochwałę, ale i z przecuciem, że coś na pewno przeoczyłem. A teraz – porządek alfabetu obrócił się w chaos.

Podszedłem do balkonu i otworzyłem drzwi. Świeże powietrze mozolnie torowało sobie drogę, wypierając zaduch. Siadłem na rozłożonej wersalce, przesuważąc kłęby zmiędlonej pościeli. Wydawała się jeszcze ciepła, ale było to raczej złudzenie wywołane widokiem zszarzałego, brudnego prześcieradła, jakby ciało wygrzebało się spod niego dopiero przed chwilą.

Dotarło do mnie, jak bardzo małżeństwo trzymało ojca w ryzach, nie pozwalało na ujawnienie tej drugiej, obcej mi osoby, która, schowana, czekała, by zastąpić znanego mi od dzieciństwa mężczyznę. Zastanawiałem się, którym z nich bardziej gardziłem – ojcem numer jeden, porządnikiem, który katował nas wymyślnymi rytuałami, czy ojcem numer dwa – flejtuchem, zamykającym się przed rodziną w pokoju, z urazem do całego świata, schowanym pod zwałami brudnych ubrań.

Między fotelem, stojącym przy zagraconej ławie, a biblioteczką zauważyłem rząd butelek po piwie. Te ustawione pod ścianą były puste, ale część stojącą bliżej mnie wypełniały płyny. Podniosłem się i sięgnąłem po najbliższą. Wyjąłem zwitek gazety zatykający szyjkę i powąchałem. Odrzuciło mnie – to był moc! Odstawiłem szybko butelkę i cofnąłem się trochę. Klapnąłem na tapczan. Dotarło do mnie, że ojciec, zamykając się w pokoju, musiał gdzieś załatwiać swoje potrzeby

fizjologiczne. Coraz trudniej było mu utrzymać moczo do czasu, aż ja z matką usniemy. Tak bardzo nie chciał się z nami widzieć, aż tak unikał mijania nas w korytarzu czy kuchni, że załatwiał się do pustych butelek, które opróżniał w toalecie późno w nocy.

– Co tu robisz? – usłyszałem. Ojciec stał w drzwiach. W słonecznym blasku padającym przez okno wyglądał jak pożółkła mumia. Pierwszy raz dostrzegłem, jak bardzo pomarszczoną ma twarz.

– Co się z tobą dzieje? – Nie podniosłem się z posłania. Ojciec przysiadł na brzegu fotela, opierając łokcie na kolanach. Wyglądał na zmęczonego.

– To znaczy, co ma się ze mną dzieć?

– Nie udawaj głupiego, żyjesz jak w chlewie. – Wstałem. – Zawsze tak cisnąłeś z tym sprzątaniami, a teraz co? Masz to gdzieś?

Nie odpowiedział.

Przyjrzałem mu się. Od miesiący nie był u fryzjera, od tygodni nie korzystał z kąpieli. W wyciągniętym, starym swetrze, zapiętym na jedyny ocalały guzik, w beżowych spodniach z kolekcją plam na udach, w sandałach, przez które prześwitywały brudne stopy, wyglądał, jakby został przez pomyłkę naklejony na ojca, którego znałem.

– Spójrz na siebie, zaczynasz przypominać zwykłego żuła. Co, jak matka cię nie pilnuje, to wyszło szydło z wora?

– Rozwód – powiedział tylko. Po chwili dodał: – To już nic nie znaczy.

Spis treści

Adaś (14.45)	7
Ojciec zdechł	7
Adaś (14.50)	39
Dwie matki	40
MDWS	42
MZMN	45
Rozrąbujemy ryje na miejscu	50
Tomek Bez Kości	57
Zaopiekuję się tobą	76
Adaś (15.02)	88
Dziękuję Bogu za „Padlinkę”!	89
Sucha kość kurczaka	111
Adaś (15.10)	132
Uchylny	134
Adaś (15.15)	156
Jacek Siateczka	158
Nie wątpię	179
Zielono	193
Siedem kroków, siedem fal	211
Adaś (15.25)	231
Frencz i Smerf stają się pyłkami	232
Katalog usterek	245
Adaś (15.30)	253

Redaktor serii: Dariusz Sośnicki
Redakcja: Beata Frankowska
Korekta: Małgorzata Denys, Dominik Wódz
Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Filipowicz,
www.360stopni.com.pl
Fotografia autora: © Katarzyna Skoczyńska-Maślanek

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne
Piaseczno, Żółkiewskiego 7
Druk i oprawa: Białostockie Zakłady Graficzne S.A.

ISBN 978-83-7414-846-7



Opowiadam historię lumpeninteligenta, dla którego polityczny przełom osiemdziesiątego dziewiątego roku, dokonany gdzieś tam, daleko, przez ludzi zupełnie mu obojętnych, nie był wybawieniem, ale pierwszym symptomem apokalipsy. To powieść o udławianiu się wolnością, o mieście, które nie wytrzymało zastrzyku adrenaliny, o naturze, która odebrała to, co jej wydarto.

Jarosław Maślanek

Jarosław Maślanek (ur. 1974) – absolwent politologii, dziennikarz, redaktor tygodnika poświęconego rynkowi inwestycyjnemu. Zajmuje się głównie tematyką gospodarczą, pisał m.in. do „Polityki”, współpracuje z branżowymi miesięcznikami i portalami internetowymi. Pochodzi z Pionek k. Radomia, mieszka w Warszawie. Zadebiutował powieścią *Haszyszopenki* (W.A.B. 2008). W 2009 roku wziął udział w Europejskim Festiwalu Debiutu Prozatorskiego w Kilonii.

w
ydawnic
ab
two

9 78-83-7414-846-7



9 788374 148467

cena 34,90 zł